

MAREK SOŁTYSIK

DROGA DO KAROLA SZYMANOWSKIEGO¹

Było już dobrze po śniadaniu wielkanocnym. Genewa, wychodzić z domu się nie chce; za oknami srebrnosina mżawka. Przez mleczną zasłonę chmur próbuje się przedrzeć słońce. Poczekamy. Marta Rajchmanówna nie zeszła na dół. I tego dnia postanowiła w ogóle się nie ubierać. Śmieszyły ją te „staropolskie”, jak to nazywała z przekąsem, obrzędy. Agnostyczka, zdeklarowana przeciwniczka wszelkich imitacji, mogłaby być osobą wartościową, gdyby nie jej histeria, w porę niestety nie opanowana przez rodziców – co Roman zauważył już po trzech dniach pobytu. Niby kapryśny wdzięk młodej, świeżej i ładnej – a jednak posmak czegoś niewłaściwego. W znaczeniu, powiedzmy, niedostatku formy artystycznej podczas wykonywania słusznego poniekąd protestu.

Panowie opuścili nielicznych gości w jadalni i przeszli do biblioteki na papieroska.

¹ Niniejszy tekst stanowi fragment powieści Marka Sołtysika pt. *Roman Maciejewski. Dwa życia jednego artysty* wydanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy w 2013 roku.

– Wyjeżdżał pan z Polski jako tak zwana nadzieja – powiedział Ludwik Rajchman, polski bakteriolog, współtwórca Komisji Epidemiologicznej Ligi Narodów, dyplomata i ekspert o zadziwiająco szerokim spektrum specjalizacji. – Po przeszło dwóch latach, kiedy na chwilę przyjechał pan z Paryża do Warszawy, po tym koncercie z Krancem w kinoteatrze Roma, okrzyknęli pana muzycznym geniuszem. Widać oprócz talentu trzeba mieć wielkie szczęście.

– Możliwe, że akurat trafiłem w środek tarczy czasu – westchnął Roman i spojrzał głęboko w oczy swego przyszłego teścia.

– No, mój drogi, przecież ten koncert transmitowało na żywo Polskie Radio! Ty i Kazik Kranc siadacie do fortepianów 23 lutego 1937 roku, a my w tym samym czasie, w tej samej minucie rozsiadamy się swobodnie tutaj wokół superheterodyny. Mimo odległości jesteśmy razem. Mamy tu świetne radio, wszystko było słyszalne. O, dobra jakość dźwięku! Dochodziło tu do nas wszystko. Każdy dźwięk. Wraz z szalonym entuzjazmem widzów. Tu, w Genewie, słyszałem, jak ludzie w Warszawie wrzeszczą, dopominają się bisów. W twojej, widzisz, muzyce – a ze mnie przecie żaden znawca – jest, jak by to rzec, elektryczność. Ten rytm... U ciebie, ja to wiem, ja to czuję i słyszę – niezwykle zrytmizowanie. W tym rytmie jest jakby druga, dodatkowa muzyka. Taka uszlachetniająca melodia wewnętrzna. Nie miej mi za złe niefachowej paplaniny, wszak mówi do ciebie nie artysta, lecz higienista, ale weź pod uwagę, że nasza Marta, w końcu niejako zawodowo świadoma wagi dzieła sztuki, siedziała przy głośniku cała zaczerowana. Choć to, co robisz, nie jest tak do końca muzyką poważną, brzmi poważniej niż rzępolenie twórców, pożałuj się Boże, oper współczesnych, suchych i eklektycznych, w salach z tradycjami, w miejscach, gdzie trzeba w biżuterii, z taką czy inną etolą, najlepiej we fraku i przy orderach...

– O! W każdym razie wyjechałem z Polski z innymi wrażeniami, niż się spodziewałem.

– Jechałeś tam z tremą czy jak?

– Po tym, co konserwa zrobiła, przepraszam, co chciała zrobić z Karolem Szymanowskim, a nie mając konkretnych wieści z kraju, obawiałem się zastoju i szlabanu. Martwiłem się, że na przykład Rytel, ten człowiek pozbawiony talentu, będzie nadawał ton, że mu się uda zasypać popiołem to wszystko, co zaczynało się pięknie rozwijać w nowej polskiej muzyce. A tu, proszę! Nie mówię, że mnie akurat tak przyjmowali, bo w końcu ten koncert na dwa fortepiany w kinie Roma to było zdarzenie o posmaku sensacji. Nie trzeba było specjalnej dociekliwości, żeby dostrzec pozytywne symptomy w atmosferze polskiej kultury. I to nie tylko w dziedzinie muzyki. No tak, uderzające jest dochodzenie do głosu właśnie młodych. I to dopiero początek. Dobry początek.

– Szkoda – powiedział Rajchman – że może skończyć się na tym początku.

– Nie wierzy pan w młodych? To talenty. I co najważniejsze, ci chłopcy to autentyczni twórcy. Nie jacyś tam nadmuchi, nie z nadania... Mnie jeszcze nie musi pan ufać, ja poza tym mogę nie być bezstronny, ale proszę zapytać Martę, ona trzyma rękę na pulsie tego, co się dzieje w polskiej i w światowej kulturze...

– A ja, niestety, drogi mój Romku, trzymam rękę na pulsie tego, co się dzieje w polskiej polityce. Jakie szaleństwo ogarnia ludzi, którzy się pchają do władzy.

W Genewie, w parku wokół rezydencji Rajchmanów, przez bezlistne jeszcze, ale gęste gałęzie młodych, zgrabnie poprzystrzyganych drzew przeświecało marcowe słońce, takie mleczne jeszcze; bez wiatru, blisko południa, robiło się ciepło, i pan Rajchman odpiął górny guzik płaszcza; spojrział odruchowo, czy nikt nie widzi. – Ach, dyplomacja – uśmiechnął

się do Romana – tyś artysta, możesz chodzić nawet i bez krawata. Jakoś jednak sobie na to nie pozwalasz. Mój ty Boże, mój ty Boże, dałeś temu, co nie może. Mam nadzieję, że nie jesteśmy podsłuchiwani.

– A do mnie pan ma zaufanie?

– Właśnie. Czy masz zamiar oficjalnie prosić mnie o rękę Marty?

– To znaczy?

– Znaczy, że będziesz miał zgodę!

– A mogę pana uściskać?

– Dziś nic innego nie zrobiłoby mi takiej radości! Powiedziałem „będziesz miał zgodę”. Nie powiedziałem „masz zgodę”. A! Niby drobiazg. Ale wylewność, bądźmy rozsądni, byłaby pewną przesadą. Jesteś, i ja to widzę, wymęczony, wymizerowany. To po podróży, co?

– Po podróżach. W Warszawie, zawsze w towarzystwie Kazia Kranca i oczywiście jego nieodstępnej, śliczniutkiej żony Felicji, musieliśmy zarwać parę nocy, napychając się strasznie, co nam tam burżuazja nastawiała na stołach, nałykać się papierochów własnych, no i tych z cudzych płuc...

– I te częste toasty, co?

– Pewnie! A te tłustości, frykasy, majonezy, tak że czymś trzeba było przepijać, żeby organizm przyjął.

– A w Paryżu kontynuacja?

– No nie, w Paryżu już próbowałem odpocząć, ale pan wie, pani Casella. Kocha muzykę, kocha się w Karolu Szymanowskim i wszystkim, co choćby mignęło koło niego. Ona zawsze się dowie, kiedy zjawia się ktoś z kręgu znajomych Karola...

– Karol się nie szanował, no i widzisz. Źle z nim.

– Przecież jeszcze przed tą moją Warszawą, na... Zaraz, zaraz, on naprawdę jest chory. W sanatorium dla gruźlików jednak?

– W wytornym dosyć pensjonacie. Już jest przy nim Leonka Gradstein. Ona mu to pomogła załatwić, jakoś przez ministerstwo, także

poprzez swoje wpływy, o których nie mam pojęcia. Ona przecież sama z trudem wiąże koniec z końcem w tym swoim biurze tłumaczeń, ale myślę, że skoro, sierota, ma takich braci stryjecznych, i w takich miejscach, to w momencie, kiedy chodzi o coś najważniejszego w kulturze polskiej, może liczyć na ich kontakty².

– Przy Leonce Karol wróci do formy, przyjdzie do siebie. W każdym razie trochę się zaceruje. Leonka potrafi wydeptać nawet dróżkę do samego Pana Boga.

– No bo i pewnie Bóg mu ją zesłał, sekretareczkę najpilniejszą, pięknemu hulace!

– Myśli pan, że Karol źle żyje?

– Czy źle? Tego nie wiem. On żyje niehigienicznie, tam w środku, najgłębiej – nie wiem, jak ci to wytłumaczyć; niehigienicznie – choć zawsze pachnie pięknie i się wytwornie ubiera. Na kredyt. Ja się źle zapatruję na taki tryb życia – patrzę na twoją, wybaczone, cerę jak szary papier, i mam poważne powody do niepokoju, i nie będziemy się ścisnąć, Romku, zanim się nie przebadasz, to tyle o naszych sprawach przy okazji – ale widzisz, mnie tryb życia Karola nie musi obchodzić. To już jest duży chłopiec. Mnie się podoba to, co zostawi! Muzyka. Wystarczy na nieśmiertelność. Wszystkie grzeszki – wraz z długami, które na pewno zostawi – zostaną mu wybaczone, darowane.

² Juliusz Gardan, głośny reżyser filmowy w latach 30. w Polsce, i jego brat, Alfred Gradstein, kompozytor w Paryżu (po wojnie w Warszawie, autor między innymi pieśni masowych). Sama Leonia prowadziła w Warszawie biuro tłumaczeń, prócz tego służyła autorowi *Harnasi* nieocenioną pomocą jako „Sekretariat Karola Szymanowskiego”. W czasie okupacji hitlerowskiej Leonia Gradstein pracowała w biurze. Poliglotka, znakomita specjalistka, wraz z matką przetrwała, nie ukrywając się. Po wojnie była aktywna jako tłumaczka literatury pięknej i naukowej. Zmarła w Domu Artysty Weterana w Skolimowie.

– Pan się nie martwi o mnie, pan się boi o los...

– A dziwisz się? Poza tym byłoby bardzo miło, gdybyś zachował resztki zdrowia dla uprawiania twórczości. Ty masz talent. Nie wolno ci go zakopywać, jeśli ci piekło niemiłe. Rozumiesz.

– Marta co na to?

– Co? Czy ja wiem? Spodziewa się zaręczyn.

– Nie zamierzam forsować. Rzeczywiście, czuję się trochę chory.

– Co ty mówisz?

– Pan sugerował.

– Spodziewałem się, że zaprzeczysz.

– Po co takie podchody? Niczego nie ukrywam, kochany panie Ludwiku. Jestem takim zwykłym sobie muzykusem, nie widzę nic zdrożnego w wychodzeniu na estradę, żeby machać bukietem kwiatów do publiczności i żeby potem bisować, nie widzę powodów, żeby nie korzystać z uroków stołu, zwłaszcza jeśli zapraszają mnie, pan może nie wie, co to znaczy, z serca. Choćby to byli filistrzy. Tak, tak, pragnąłbym odpocząć, pewnie i przemyśleć dalsze swoje kroki. Za bardzo pana szanuję, żeby zaryzykować i potem pana narazić na smutek, może nawet wystawić na pośmiewisko. Bo w życiu z artystą wszystko się zdarzyć może. Dziennikarze nie próżnują w poszukiwaniu tematów, wiadomo, trup na pierwszej stronie daje wynędzniałej gazecie nowe życie. Jak nie trup, to kochanek w szafie, jak nie kochanek w szafie, to kochanka w spodniach. Taka, na przykład, malutka. Żeby się w tych spodniach opisywanego zmieściła, taka jak ten karzełek Boruwłaski... Dosyć, nie pora na żarty. Fakty, panie, fakty, ot co! Zaraz po uctach warszawskich wymknąłem się z hotelu i pojechałem do Leszna. Matuła, tatulo, braciszkowie, siostrzyczka. Ja nie mogę sobie wyobrazić świata bez rodzinnego domu.

– Jest pan sentymentalny.

– To w pana ustach brzmi jak obelga. Bo ten groźny, ordynarny szaleniec Hitler jest także sentymentalny. Potrafił się rozpląkać podczas słuchania Wagnera.

– Hm! Na szczęście jesteśmy w Genewie.

– Pan tak, oraz pańska rodzina. Ja zaraz wyjeżdżam.

Nie wiedział, że dom Rajchmanów opuści jeszcze szybciej. Jak na komendę wyglądali pełne wzburzenia twarze dwaj dżentelmeni: pan starszy i pan jeszcze zupełnie młody. Wchodziła bowiem kobieta. Swobodnym krokiem i – bez żenady – w obszernej pidżamie, świeżej, wyprasowanej, jakby spała w innej, a tę włożyła, żeby nie wyjść na nienowoczesną. – Nie mogłam się doczekać, wreszcie jest. – Z już otwieranej dużej koperty z polskim znaczkiem wyciągnęła „Express Poranny” z charakterystycznym czerwonym tytułem. Rozłożyła gazetę. Stała na baczność, odczytywała z tryumfem:

„Z muzyki. Nowa kompozycja Romana Maciejewskiego”. – Słuchajcie i klękajcie, narody! – „Roman Maciejewski należy do tych najmłodszych, po których mamy prawo najwięcej sobie obiecywać” – Odchrząknęła znacząco. – Brzmi jak głos wielbicielki: „Kariere kompozytorską rozpoczął bardzo efektownie, bo już na ławie szkolnej, a przed ukończeniem kompozycji w konserwatorium warszawskim (z którego zresztą go wyrzucono ku zbudowaniu współczesnych i potomnych)” – dobre! – „pisał utwory, które nie tylko natychmiast zostały ogłoszone drukiem, ale również od razu przyjęły się w repertuarze pianistów”.

– Nie męczycię, jak tak stoisz? – spytał Rajchman z wcale nie udawaną troską, którą trudno jednak można by uznać za typowo ojcowską.

– Tego nie można głosić inaczej jak tylko na stojąco – uśmiechnęła się Marta i dodała: – Czy tatuś widział kiedy śpiewaka, który siedząc, wyśpiewuje arię?

– Dziecko, nie spodziewam się przecież koloratury... ha, ha, ha!

Roman rozglądał się bezradnie. Nie czuł się tu już potrzebny. Panna czytała dalej:

– „Ostatnie dwa lata Maciejewski spędził w Paryżu”.

– Przecież my o tym dobrze wiemy – westchnął i skierował się ku drzwiom.

Zatrzymała go błagalnym gestem i wróciła do tak brutalnie przezeń przerwanej lektury:

– Spędził w Paryżu, spędził w Paryżu, o, mam: „Stamtąd przywiózł nam *Koncert na dwa fortepiany solo*, który przeszedł już przez próbę estrady w Paryżu i w Londynie”... Słuchajcie, jak ta baba pisze, bo podpisała się tylko literkami *e.a.*, ale nie mam wątpliwości, że to kobieta...

– Masz rację, Marto, *e.a.* to Altberżanka.

– Znasz ją.

– Nie. Ale ona zna się na muzyce.

– Niewątpliwie, niewątpliwie. Niech tatuś także zostanie! Proszę słuchać: „Jest to kompozycja, która ma wszystkie cechy dojrzałego rzemiosła i własnego już stylu, a tak jest szlachetna muzycznie, tak bogata w inwencję, że każe wierzyć, że oto mamy przed sobą dzieło wielkiej wartości i powagi, znaczące sobą nie tylko próbę, nie tylko etap w twórczości kompozytora, ale osiągnięcie dla pewnego momentu rozwoju szczytowe”. O, Romek zaczerwienił się jak panienka. Mówiła mi przez telefon Lola Schmolzówna, ale nie chciało mi się wierzyć, że pąsy na twarzy zasłaniałeś bukietami kwiatów, trzymany w kochanych łapkach za każdym razem, kiedy wychodziłeś na estradę, wywoływany brawami. Tak nie można, to, co ujdzie panience, nie przystoi chłopcu pod wąsem. Już ja się tobą zajmę. Ale do rzeczy. Teraz: „Forma tyleż oryginalna, co i przekonująca nieodparta logika, która bije z jedności materiału melodyjnego, wzajemnej zależności części, organicznie spojo-

nych więzią tematyczną – myśli muzycznej rozpoznawalnej pod wszystkimi przeobrażeniami”.

– Zasada cykliczna – dorzucił Rajchman.

– Jak to? Skąd tatuś zna ten artykuł? Tak ta pani właśnie napisała w nawiasie!

– Liznąłem na wszelki wypadek to i owo z teorii muzyki.

– Pan mnie nie przestaje zadziwiać!

– Najgorsze, Romku, że recenzentka muzykolożka z „Kurierka” ma całkowitą rację. Twoja muzyka jest rozpoznawalna i autentyczna. Masz talent.

– Dlaczego tatusia to martwi? Pójdziemy z Romkiem piękną drogą. On będzie robił to, co jest jego powołaniem i pasją...

– Owszem, właśnie, a ty?

– Co znaczy ja?

– No, jaka by była twoja rola w tym związku?

– Jaka będzie!

– Będzie, nie będzie...

– Tatusiu!

Błagam cię, myślał strwożony Roman, tylko nie rzucaj na dywan gazety i nie wybiegaj ze szlochem, bez słowa, bez argumentów. To nie dla ciebie stanie się klęska, lecz dla mnie. Klęska i jak się wydaje, wyzwolenie.

Rzuciła gazetę na dywan i wybiegła z biblioteki. Zdaje się, że ze szlochem.

Roman, nie patrząc na powiędłego nagle Rajchmana, obrócił się w bok, podniósł gazetę, zamierzał wyjść drzwiami innym niż Marta.

– Czekał pan! – powiedział chrapliwie Rajchman. – To nie pańska gazeta! – Wyrwał Romanowi ten „Express”, zrobił parę kroków, zamknął się w swoim pokoju i tam, napelniając się wybuchową mieszaniną dumy

i irytacji, kończył czytać, już sam, już zdezorientowany. Sprawy domowe wyraźnie go przerastały. Przerastały człowieka, który bez wahania budował nową Europę, robił porządek w Azji i zamierzał jako higienista za-wojować Amerykę. Litery zamazywały mu się przed oczami:

„Ale w tym pomniku myśli muzycznej, mądrej i pięknie zorganizowanej (jakie bogactwo polifonii!) – bije żywe źródło natchnienia.

Bo jakżeż inaczej nazwać tę zdumiewającą świeżość, ten ciepły, wartki nurt inwencji, tę żywość, która palpituje wzruszeniem!

Faktura fortepianowa przepyszna, partie koncertujące zrównoważone, brzmienie świetne.

Koncert Maciejewskiego w autorytatywnym i pełnym ognia wykonaniu samego kompozytora i p. Kazimierza Kranca odniósł wielki i zasłużony tryumf”.

– Ten mały tym razem wygrał ze mną – powiedział sobie półgłosem.

Odetchnął niepotrzebnie. Zanim zapadł w drzemkę, która od niedawna stała się jego lekarstwem na stresy, nawet przez myśl mu nie przeszło coś, co już stało się faktem: że mianowicie zwycięzca odejdzie wzgardziwszy może nie tyle swoim, ile takim zwycięstwem.

Gdybyż wiedział, że w tej sytuacji Roman zadowolony się fantem!

Kiedy Roman, zachowując ostrożność, już od strony korytarza zamykał drzwi panińskiego pokoju, w którym pocieszał Martę – i uważał, żeby nie potrącić stoliczka na kółkach ze świątecznym podwieczorkiem dla niej, postawionym przez służbę, w domu, z pozorów uszpienym – słabym ciepłym światłem rozpraszały popołudniowy półmrok dnia bez słońca lampy o kloszach koloru jasnego miodu – na dole rozterkotał się dzwonek telefonu. Ktoś stamtąd po chwili krzyknął: – Pilna wiadomość dla mistrza Romana Maciejewskiego! Paryż na linii!

Dzwoniła w rozedrganiu Felicja z Lilpopów Kranc, żona Kazika:

– Siedzimy tu wszyscy jak na ogniu piekielnym...

– Wszyscy? I gdzie? Co się stało?

– U Rubinsteinów. Na Montmartre. Oni i my, i Casselka³, która rozpacza i nie można jej uspokoić. Ty chyba wiesz, że stan Karola bardzo się ostatnio pogorszył.

– Dowiedziałem się o tym przed godziną, ale skoro tam jest Leonka... Pewnie niebezpieczeństwo zażegnane.

– Roman! Nie! Doktorzy już nie robią nadziei. Nieszczęsna Stasia, o Boże, od tylu lat męczennica, już powinna dojechać do brata... Na razie Leonka sama wszystko przy Karolu robi, patrz, anioł, ani rodzina, ani artystka, ani pielęgniarka, ani kochanka. Wielbicielka i cicha, jakże staranna menedżerka. Ale po co ja ci tu jeszcze plotę, to bez sensu, już, rozumiesz, w obliczu... Czekamy teraz właściwie tylko na ostateczny telefon z Lozanny. Agonia. A tam, zdajesz sobie sprawę, przy nim dwie kobiety. Trzeba, żeby tam był mężczyzna. Artur nie może, bo cały Londyn rozwieszony afiszami o jego koncercie pojutrze.

– No to ja przecież jestem w Genewie. Najbliżej. Wsiadam w pierwszy pociąg do Lozanny.

– Są święta.

– Tu się aż tak nie świętuje. Dam sobie radę. Powiedz wszystkim, że już zakładam płaszcz i naciskam na głowę kapelusz. A, ale gdzie to konkretnie jest? Adres!

– Clinique du Signal.

³ Helena Kahn-Casella (1877–1952), urodzona w Polsce, mieszkająca w Neuilly (dziś dzielnica Paryża), francuska admiratorka Karola Szymanowskiego. Rozwieńczona w 1919 roku z włoskim kompozytorem Alfredem Casellą, żyła nad Sekwaną samotnie. Zarabiając na życie jako akompaniatrix i korepetytorka, przyjaźniła się z najwybitniejszymi muzykami francuskimi, między innymi Ravelem i Honeggerem.

– Ulica?

– To już na miejscu się dowiesz. Telefon Lausanne 2407.

– Dodaj wszystkie cyfry, wyjdzie trzynastka.

– Karol nie jest przesądny.

– Ale ja jestem.

Połączenie zostało przerwane.

– Umiera Karol Szymanowski – rzucił żegnając się z Rajchmanami.

– Czy mam zabrać stąd wszystkie swoje rzeczy?

– Zabrać. Na razie zabrać – mocnym głosem rzekł Rajchman. A chwytając go za ramię, dyskretnie zrobił z nim kilka kroków. Kiedy zbliżali się do oszklonej werandy z roślinami, dodał, chrząkając znacząco, ale bez śladu przygany: – I garderobę na sobie uporządkuj, Romeczku.

Jechał w pustym przedziale nocnego pociągu. Stukot kół, wygłuszony świetnymi obiciami wnętrza, pęd, spoza szyb przedostawał się metaliczny dźwięk: wycie przeszywanego wiatru. Wydawało mu się jednak, że jest ciepło, przytulnie. Dziwny ten bliski błogości stan, kiedy zapadając w półsen, czuł ciepło piersi i zapach całowanych ramion Marty, wyłączał ze świadomości całą prawdę o nędzy obecnej sytuacji. O zawieszeniu i dyndaniu w próżni, w co wprowadził go niespodziewany zwrot – by tak rzec – akcji: wreszcie nieklamany, aczkolwiek wciąż ze śladami dwuznaczności, stosunek doń człowieka tak wartościowego, jakim jest Rajchman. Zrozumiał, że został naznaczony stemplem niechęci przez tego, którego jeszcze w południe uważał za swojego przyszłego teścia, dopiero w chwili, kiedy poczuł, że w tors mu się wgniata cegła. Cegła robiła się gorąca, nie można się było od tego naporu uwolnić. Roman dotknął najpierw splotu słonecznego, gdzie skumulował się jeszcze inny, tępy, jednostajny ból.

Więc co potem? Cierpienie i śmierć. Poznał życie wyższych sfer od podszewki; obserwował codzienność tych, co są na świeczniku. Marność; nic ciekawego. Trzeba szukać innych wartości. Nieistniejących niestety dla możliwych tego świata, zatroskanych jedynie o to, żeby nie wygasła ich popularność, która żywi ich pychę, przynosi doraźne zaszczyty, napycha kabzę. Blichtr. Życiu trzeba nadać sens – robić coś dobrego dla bliźnich, albo zostawić z myślą o nich na przykład twórczą myśl zakłęta w dzieło... która nie przekłada się na pieniądze.

Chusteczka mokra od potu wycieranego z twarzy. Nie można sięgnąć do neseseru po drugą. Nie, każdy ruch, nawet próba słabego półobrotu, to wszystko, co przed chwilą było tak proste, teraz jest niemożliwe. Żołądek? Niestrawność? Co to, to nie. U Rajchmanów wszystko było świeże, tak smacznie przyrządzone, pił w miarę i tylko starą whisky. I na myśl o tym, że w małej podróźnej torbie z miękkiej skóry (żeby jej nie zapomniał, kiedy w Lozannie przyjdzie bagażowy!) są zapakowane na polecenie Rajchmanów wiktuały z kuchni i z kredensu, i flaszka z trunkiem, nie poczuł mdłości. Znaczy się, jeść mógłby. Nie zatrucie. Może więc atak serca? Pomalutku nalewał sobie dobrze osłodzonej kawy z termosu, który miał pod ręką, na wysuwanym stoliczku u okna. Kawa pachniała zachęcająco, nie wiedzieć czemu pomyślał znowu z czułością o Marcie. Nie jako o historyczce teraz o niej myślał, lecz jak o dziewczynie wspaniałej, tylko przez rodziców rozpuszczonej jak dziadowski bicz. Pierwszy łyk kawy z odrobiną – ale to się dawało wyczuć – koniak wywołał wstrząs w jego wnętrznościach. Łudził się jeszcze, że napój za gorący, że trzeba będzie poczekać, aż przestygnie w tej srebrzystej zakrętce imitującej filiżankę, takiej ozdobnej, o Boże!, ale nie zdołał zapanować nad sobą. Ostry ból żołądka. Konkretno miejsce. Bez złudzeń, że coś gdzieś skądś promieniuje. Zacisnął zęby, żeby nie krzyknąć; i tak by nie wydał głosu, opadł z sił w jednej chwili. Zdążył odstawić

termos na tę podręczną półeczkę, zakrętka z kawą poleciała na dywan. Dywan – pomyślał – i omdlał. Trwał tak może sekundę, może przez pół godziny. Kiedy się ocknął, stwierdził, że już po bólu. I że – Boże, wybacz – niestety jeszcze żyje. Bo ból, którego nie odczuwał, jak był nieprzytomny, teraz znów się odezwał. Napadł niewinnego człowieka, kazał mu zwijać się w kabłąk.

Rajchman miał rację, ja jestem chory. Mnie nie wolno się wiązać ani z drugim człowiekiem, ani umowami z nikim. Mogę tylko umawiać się z samym sobą. Od kilku lat już mnie trochę pobolewało, liczyłem na to, że przejdzie, że dieta – ale czy miałem warunki, żeby utrzymać umiar? Że kiedy się ustabilizuję... Córka Rajchmanów była bardzo dobrą partią, Karol tak by się ucieszył na wiadomość o zaręczynach. Ja w rodzinie Rajchmanów – to byłaby nie tylko dla mnie, ale i dla Karola jeszcze jedna szansa na spokojne uprawianie twórczości. Bo te polsko-amerykańskie milionerki, które zachwycone nim, jego muzyką, jego legendą bon vivanta (legendą, ech, już tylko ewentualnie śladem legendy), są chimeryczne, bywają okrutne, z wrodzoną złośliwością udają, że zapomniały o wysłaniu czeku, który przychodził do Karola systematycznie, a teraz dwumiesięczne opóźnienie zmusza go do robienia długów, a on, zamiast leżakować w Davos czy w Leysin, kiedy już znajdzie i salę, i chętnych, będzie godzinami, zupełnie dla niego niepotrzebnie, ćwiczył etiudy Czernego, żeby – żaden wirtuoz, bo genialny kompozytor nie tylko nie musi, ale wręcz nie może być wirtuozem – żeby więc (wspaniale zresztą) robić gębę... i robić za wybitnego pianistę.

Gdybym wszedł do rodziny Rajchmanów, Karol musiałby otrzymywać prywatne stypendium, systematycznie, co do dnia i godziny. To byłby mój warunek... Zachichotał w duchu: – Roman M. jako gwiazdka sezonu stawia warunek obywatelowi świata! I znów musiał się zgiąć; ułożył się na fotelikach, głową do okna, i z całych sił przytknął czołem

do prężnego, obitego pluszem oparcia – żeby się na razie nie ruszać, ale żeby nie tracić kontaktu z rzeczywistością.

Coraz bardziej wygodne robią się myśli młodego mężczyzny, który jechał nocnym pociągiem z Genewy do Lozanny. Więc to jest tak. Nie można wyjść z pędzącego wagonu – a myśli takie pojemne, że w końcu się zapomina, że jedzie się, że to podróż, że potem trzeba będzie... no tak, ale to jeszcze nie w tej chwili. Ciekawe, czy każdemu człowiekowi zostało wyznaczone, ile razy w życiu będzie zaczynał od nowa.

Ile to lat temu... tu-dum, tu-dum... pięć lat, to było w 1932, zaraz przed tym, jak mi wydali cztery *Mazurki*. A *Pieśni kurpiowskie* i *Tryptyk* nieco później, pod koniec 1932. Debiut kompozytora; wachanie świeżej farby drukarskiej, dotykane papieru z partyturą, okładki... tu-dum, tu-dum... Ha, ha, byłem człowiekiem świeżo wyrzuconym, kiedy zobaczyłem w witrynie księgarni muzycznej te moje *Mazurki*! To, co się stało, Karol Szymanowski nazwał awanturami warszawskimi: jako rektor, któremu konserwatywni muzycy, zatwardziali pedagogzy i służący im publicyści podstawiali nogę, miał dość utarczek i podobno już w lutym podał się do dymisji. My, uczniowie, nie mieliśmy pojęcia, że mistrz podjął taki krok, zdaje się, że jego żądanie o zwolnienie z obowiązków nie było oficjalne. No, ale to wszystko okazało się dopiero później... tu-dum, tu-dum... Wyjechał do Zakopanego, schorowany i w złym stanie nerwów, żeby odetchnąć. Wcześniej w rozmowach z przyjaciółmi mówił o ogólnym w Polsce schamieniu i o dążeniu do przeciętności, oczywiście, o walce – od góry do dołu – z tym, co wychyla się spoza szablonu. Zdawał sobie sprawę z tego, że ci, którzy go atakują, potrafili znaleźć różne drogi do „miarodajnych czynników” i wbić im w głowę „racjonalne powody”, dla których Szymanowski nie powinien kierować Konserwatorium. Karol postanowił nie wracać do Warszawy nawet na II Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny, zamierzał pozostać w Zakopanem

aż do Wielkanocy. Tymczasem jakoś w połowie lutego związani z Szymanowskim profesorowie Sikorski, Fitelberg i Różycki, a ze Średniej Szkoły Muzycznej Raczkowski dostali zawiadomienie o przeniesieniu ich w stan spoczynku. My, uczniowie Konserwatorium, zostaliśmy tym samym całkowicie zlekceważeni i tak też poczuła się część z nas. Byłem, ze Stefanem Kisielewskim⁴, jednym z jak to nazwano, przewodników. Nawoływaliśmy do protestu. Udało nam się utworzyć komitet strajkowy i doprowadzić do strajku studentów w obronie Szymanowskiego i Akademii. Potem odbył się nad nami sąd; dla pozoru obiektywizmu z udziałem Drzewieckiego, byłego rektora Akademii. Kisielewskiego wylano na pół roku, mnie wyrzucili zupełnie i definitywnie. No bo i w sprawie protestu odegrałem najważniejszą rolę. A jak można było nie zaprotestować przeciw wchodzącym w życie zmianom na gorsze? Jak można było... tu-dum, tu-dum... jak można było nie bronić największego, jeszcze żyjącego polskiego kompozytora? Że te rozgrywki na szczeblu ministerialnym musiały się odbywać właśnie za rektoratu Szymanowskiego! Trafili na wrażliwego. Jego muzyczni i osobiści wrogowie korzystali z tego, że wielkorządcy ministerialni zmieniali się jak w kalejdoskopie wariata i odpowiednio ich nakierowując, doprowadzali do ciągłych reorganizacji uczelni. W środku roku szkolnego ministerstwo podjęło decyzję, że Wyższa Szkoła Muzyczna przestaje istnieć, bezczelnie, nawet bez odwoływania w Dzienniku Ustaw poprzednio ogłoszonego statutu! No, a Szymanowski na wieść o zwolnieniu profesorów wystosował z Zakopanego swą oficjalną dymisję... tu-dum, tu-dum... Ja wyleciałem na łeb na szyję, ale dzięki naszym protestom przywrócono profesora Kazimierza Sikorskiego, który był mózgiem Konserwatorium! Karol Szymanow-

⁴ Stefan Kisielewski, powieściopisarz (w paryskiej „Kulturze” jako Tomasz Stałiński), bezkompromisowy felietonista (Kisiel) i kompozytor.

ski, Grzegorz Fitelberg – poza nawiasem największej uczelni muzycznej w Rzeczypospolitej. Dla nich to może lepiej, zajmą się tym, co dla nich najważniejsze, komponowaniem, dyrygenturą, pozostanie to, co każdy z nich firmuje własnym nazwiskiem. Ale co stanie się z kulturą muzyczną dzisiaj? Z młodymi talentami? Ano, uschną i rozsypią się w proch. Profesor Władysław Raczkowski, dymisjonowany, miał jednak nadal prowadzić orkiestrę. W tej sytuacji zrezygnował. Wrócił do Poznania. Konserwatorium bez orkiestry! A chór po Raczkowskim miał prowadzić nielubiany przez studentów przeciwnik Szymanowskiego, profesor Kazuro... studenci zrobili tak zwany strajk włoski: przyszli na pierwszy wyznaczony termin, ale zaraz potem demonstracyjnie opuścili salę... tu-dum, tu-dum... Karol powiedział, że gdyby te historie z podchodami Maliszewskiego, Morawskiego, Kadena, Rytla, Niewiadomskiego i Kazury opisać, powstałaby z tego powieść. Kryminalna! Poczucie godności przekonało go, że jedyną słuszną drogą było odwrócenie się plecami i pośpieszne opuszczenie tego burdelu. Powiedział mu, że wobec zagranicznych kolegów wstyd mu za własny kraj. Niby gwizdał na to, określając sprawę jako kiepski wodewil, niby zaraz po awanturach warszawskich skomponował w Zakopanem cykl melodii kurpiowskich i pracował nad *Koncertem na fortepian*⁵, lecz jednak honor jego ucierpiał na tym, że jako kompozytor tej miary, co w Niemczech Hindemith, został tak łatwo „zdetronizowany” przez miernego Morawskiego. No i kwestia materialna... wszak będąc na stanowisku rektora, zarabiał sześćset złotych – bagatela – sześć pensji nauczyciela kontraktowego! Jego, wytwornego

⁵ Nie ma śladu nieukończonego *Concertino*. Karol Szymanowski pokazywał jednak fragmenty tego utworu Romanowi Maciejewskiemu, który niebawem po śmierci mistrza opublikuje wspomnienie („Muzyka” 1937, nr 4/5), w którym między innymi zapewni, że we fragmentach *Concertino* był widoczny zdecydowany zwrot w technice kompozytorskiej Szymanowskiego.

światowca, nikt by nie podejrzewał o straszliwe długi! Tylko nieliczni wiedzą, że od kilkunastu lat żył na kredyt... teraz pewnie ministerstwo zastanawia się, ile wydać na trumnę, o Boże, Boże, Karola, gdyby nie te jego znajome milionerki, wielbicielki, które wiedzą, że kosztuje balsamowanie, kosztuje maska pośmiertna, kosztuje utrzymanie dyskrecji w renomowanym pensjonacie, i gdyby nie poliglotka Leonka, pewnie trup by leżał gdzieś w miejskiej kostnicy! Nic po artystach, gdy rządzą pułkownicy!... tu-dum, tu-dum... wtedy był rok 1933, żył Marszałek i w kraju było inaczej niż teraz: wyrzucony z Konserwatorium, nie zostałem pozostawiony na lodzie. Gdyby nie moja muzyka, ministrowa Jadwiga Beckowa, która zna się na sztuce, nigdy by dla mnie nie wyjednała zaraz potem lukratywnych koncertów na Bałkanach, minister Beck nie kiwnąłby palcem, żeby mi załatwić stypendium twórcze w Paryżu – na cztery lata! A teraz, gdyby nie moja muzyka... swoją drogą, ciekawe, jak się potoczy dalej sprawa z kochanymi Rajchmanami... tu-dum, tu-dum... Rajchman chciał mnie wypróbować przed wyjazdem, trochę mnie badał, trochę się mną bawił; obawiam się, żeby nie przeciągnął struny; Marta i ja – wmówił sobie, żeśmy zakochani, że jesteśmy w uścisku także duchowym, nie może sobie wyobrazić, że to, co jest między nami, to nie miłość, to przywiązanie i pewna przyjemność bycia razem. Połączyć się i być z sobą tak do końca? Ja jestem nieprzyzwyczajony, miłością wciąż jeszcze przy Marcelli, utraconej, nie mogę posługiwać się atrapą miłości. Marta mnie bardzo lubi, jest wspaniałą dziewczyną – ale nie kocha. Nic na siłę. A na potem tego zostawić się nie da...

Karol Szymanowski umarł, do końca przytomny, umęczony. Pięćdziesięciopięcioletni, był w tym ładnym pokoju w „Signal” w towarzystwie, jeśli tak się można w tej sytuacji wyrazić, dwóch kobiet. Drobna, fer-

tyczna, zapobiegliwa i być może bardziej niż trochę zakochana w mistrzu Leonia Gradstein, jeżeli okazywała uczucie, to pomocą, którą Szymanowskiemu niosła od kilku lat, nie pozwalając na zerwanie kontaktów z wiedeńskim wydawcą jego utworów. Tak robiła, żeby ani jedna strona, ani druga nie zareagowała beznadziejnym gniewem, kiedy chodziło o pieniądze. Mądra, rozsądna, wiedziała, że nigdy wcześniej nie było i pewnie nigdy nie będzie dobrych stosunków między nakładcą a autorem. Teraz, kiedy Karol był tak niebezpiecznie chory, Leonka od kilku dni zajmowała pokój przylegający do jego sypialni. Prosił, żeby nie zamykała drzwi nawet wtedy, kiedy na trochę przestaje przy nim czuwać i idzie spać. Podawała mu soki, zmieniała pidżamę, nacierała skronie i szyję wodą kolońską, tą, którą tak lubił (zresztą mieli wspólne upodobania do tych zapachów wykwintnych, on zawsze jej przywoził z Paryża do Warszawy flaszki ulubionych... ona, oczywiście, zamawiała i płaciła mu, bez żadnych podtekstów; poza tym bez jej interwencji nigdy nie byłby w stanie wyciągnąć należnych mu tantiem, honorariów, stypendiów i zapomóg). Jeszcze na kilka tygodni przed zgonem tak Karol, jak i wszyscy wokół, najbliżsi, byli przekonani, że odsuwająca obawy diagnoza pochodzi od poważnego specjalisty. Nawet matka, uspokojona jak nigdy od czasu przyjazdu z Rosji, w Warszawie, nie przeczuwała katastrofy. Nie wiadomo, dlaczego lekarz Glaz wydał błędną diagnozę z pocieszeniem („Panu nic nie grozi”), wiadomo natomiast, że doktor Castelnau, który przejrzał te same zdjęcia i wyniki badań, nie miał złudzeń („gruźlicze zapalenie krtani... rokowanie niepomyślne”). Siostra Karola, Stanisława Korwin-Szymanowska, znana śpiewaczka, przed kilku laty przeżyła tragedię: jej trzynastoletnia córka, Alusia Bartoszewiczówna, oddana do klasztornej pensji we Lwowie, zmarła nagle, zabita kamienną figurą świętego Stanisława Kostki, która runęła właśnie na nią w czasie, kiedy dziewczynki biegały wokół tej rzeźby. Stasia była

wtedy w ciąży; przyjechała z Warszawy do Lwowa, wezwana przez zakonnice enigmatycznym telegramem. Był przy niej mąż, inżynier Bartoszewicz, dowiedzieli się strasznej prawdy. Stasia poroniła. Małżeństwo się rozpadło, dochodziła do siebie, podróżowała po Polsce, żeby koncertować, udzielać lekcji śpiewu, chorowała w domu w Warszawie, wykładała w Konserwatorium w Katowicach, i tak na przemian. Kiedy przyjechała z Bazylei do dogorywającego brata, była zaziębiona, ale poza tym czuła, że dzieje się z nią coś złego. (Nie, nie z powodu smutku, nie wskutek złych emocji; ten nieokreślony zły nastrój był wywołany chorobą nowotworową, jeszcze niezdiagnozowaną, potem wykrytą za późno). Kiedy Karol Szymanowski umarł, Stanisława Szymanowska zemdliała. Ocucona, była dzielna, wraz z Leonią zajmowały się wystrojem, a ściślej przestrajaniem tego słonecznego i z wesołymi tapetami pokoju, z którego trzeba było zrobić kaplicę, zawiadaniem przyjaciół, także tych możliwych, z których większość akurat nie miała czasu, ale wykazała natychmiastową gotowość do stosownego wsparcia. Lekarz wypisał świadectwo zgonu. Zapłonęły u wezglowia świece. Żeby zdjąć maskę pośmiertną, został zawiadomiony rzeźbiarz, profesor Delerse. Właśnie narzucał płynny gips; to trzeba było zrobić zanim zmarły zostanie ubrany. Przyszedł ksiądz, drobny, nie w sutannie, zrozumiał i powiedział, że się zjawiał nie w porę i że powróci za dwie godziny, kiedy maska zostanie zdjęta.

Iza Landsbergowa⁶ powiadomiła ambasadora w Paryżu Juliusza Łukasiewicza, który zrobił o niebo więcej, niż tego wymagały obowiązki dyplomaty.

⁶ Iza Landsbergowa – jedna z córek Maurycego Poznańskiego, przemysłowca, melomana i filantropa – finansowała między innymi pobyty Karola Szymanowskiego w klinikach i sanatoriach w Alpach szwajcarskich.

Kiedy Roman przybył do Lozanny, nie mógł mieć pojęcia, że Szymanowski od kilku godzin już nie żył i że teraz, gdy wymogom medycznym i sanitarnym stało się zadość, ciało zmarłego było przygotowywane do tymczasowego i w ściśle określonym celu wyniesienia z sanatorium Clinique du Signal. Na dworze szybko zrobiło się już ciemno. Z wciąż niechęcącym ustąpić, choć może nie narastającym bólem, poprosił bagażowego, żeby walizę zaniósł do przechowalni, sam na foteliku poczekalni pierwszej klasy czekał na kwit, zapytał o najbliższą aptekę, i – tak przecież fizycznie niezaprzeczalnie lekki – ruszył ciężko, tylko z tym neseserem w rękę. Neseser ciążył podobnie jak ta nieistniejąca cegła w brzuchu. Wymógł na aptekarzu, starszym łysym mężczyźnie, który sam wyglądał na ciężko chorego, silny środek przeciwbólowy. Na ulicach pusto. Podejrzanie pusto czy to może dlatego, że święta. To tu. Dyskretnie, ale i funkcjonalnie oświetlony, czteropiętrowy budynek z wydłużoną ponad jego bryłę werandą. Interesująca architektura; z solidnego trzonu budowli występuje na pierwszy plan dodatkowy element czegoś w rodzaju dwupiętrowej willi, nadając bryle lekkość i wdzięk. Drewniane, ażurowo wycinane elementy zdobią balkony, werandy, zadaszenia, podcienia. To miejsce nie wygląda na umieralnię. Formalności w recepcji. Tak, to już się stało. „To już stało się” – tak sobie dokładnie przetłumaczył słowa recepcjonisty, który szeptem błagał przybysza o zachowanie ciszy i dyskrecji. Z bladej, wykrzywionej żałością twarzy Romana wywnioskował, że ten to już na pewno musi być ktoś, kto był (a pewnie i jest) dla zmarłego najbliższy.

Znalazł wreszcie ten pokój. Ściany wytapetowane w radosne, pastelowe kwiatuszki, drzwi do drugiego pokoju, jak w willi w Polsce, z esamifloresami w trawionym szkłe. W głębi parawan; naciągnięta tkanina kolorowa, ożywiona motywami ruchu, jak na obrazkach Stryjeńskiej. W zielonym fotelu rozszlochana Stasia, oparta nieruchomo o stół, zmar-

twiała Leonka. I brak. Ten brak nienaturalny, bez znaczenia i straszny, jak poruszający się kikut. Pusto na środku pokoju. Przed chwilą służba wyniosła łóżko. Cicho i sprawnie wniesiono pustą trumnę. Później pocieszał umiejętnie te znękanie, zdezorientowane kobiety, jeszcze nie całkiem świadome nieodwracalności tego, co się stało. Już – niby naturalnie – zaczęły celebrować żałobę, ale żeby strata...? Dopiero kiedy puste miejsce wypełniło się trumną jak elegancki fotel dla obłożnie chorego. Do przyjmowania gości na leżąco, zupełnie na wznak. Artysta, obywatel świata, dandys z nogą sztywną w kolanie, rezydent w zakopiańskiej willi, za którą nie był w stanie zapłacić czynszu, a gdzie dążyli najwspanialsii, żeby zobaczyć artystkę o bladej twarzy, czarnych gęstych brwiach, pachnącego oryginalną wodą kolońską i czymś jeszcze specjalnie przyjemnym, co w połączeniu z papierosowym dymkiem i z naturalnym uśmiechem łączyło się w całość bardzo cielesną, a jednocześnie nie z tego świata. Nie do powtórzenia. Siostra włożyła zmarłemu do rąk ten obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, który dostał od mamy, od matki, jeszcze spokojnie nic niewiedzącej w Warszawie, w mieszkaniu, które bez Karola stanie się chłodną poczekalnią jakąś. Sprawdziła, czy brat... nie, czy na ciele brata są medaliki, które miał zawsze na sobie. Leonia pozbięła z szuflad biureczka i z płaszcza amulety, z którymi się nie rozstawał i które dobierał w zależności od sytuacji i celu, w którym opuszczał mieszkanie. Amulety włożyła mu do kieszeni. Zaraz przeszła do przyległego pokoju. Skrywała płacz; jej płacz się przed Romanem nie ukrył.

W trumnie, dwa kroki od niego i w blasku czterech świec na wysokich świecznikach leżał trup tego człowieka, który był dla Romana ostoją. Był przyjacielem, starszym kolegą, mistrzem, kompanem u Simona i Steckiego, wzajemnie zarażali się śmiechem, wspólnie ochraniaли się przed patosem, udając, że mają za nic imperatyw przemijania.

Muza-gruźlica plus muza-czysta wyborowa z jej wysłannikami Baczewskim i jarzębiakiem izdebnickim z destylarni księcia Rajnera. Antrakty od muzyki, od tworzenia, od instrumentów – nad majonezami, truflami lub jakąś ich imitacją, nad rakami, pasztecikami, pod kryształowymi pajakami, w towarzystwie autorów *zwischenrufów* na każdą okazję, w rozdrażniającym towarzystwie kobiet o gładkich, okrągłych ramionach, o ciągle głodnych albo ciągle płonących oczach – ze śmiesznie wymyślanymi ucieczkami na ostatnie piętro Bristolu, gdzie Karol miał, nie wiedzieć czemu, zawsze czekający nań numer 517, dosyć niski, już pod dachem, ale przytulny, wygodny, z aneksem sypialnianym. Tam można i trzeba było grać na pianinie. Karol, bez skrzepowania, przebierał się w szmaragdowy szlafrok, nie ściągał półbutów, nikt nie wyobrażał go sobie w trepkach, spokojnie nalewał porter łączony z pilznerem, nie było żadnych erotycznych aluzji czy podtekstów, w każdym razie nie w stosunku do Romana; zdaje się, że jako artyści za bardzo się wzajemnie cenili, żeby się babrać w rozpuście, która niebezpiecznie graniczy z nudą. Przed świtem, zanim się pożegnali, kawa i koniak. Koniak, oryginalny, francuski, Szymanowski odbierał hurtowo, od miłośnika jego twórczości, który (także dlatego, że to hurt) brał za ten rarytas o wiele taniej. Wieczory na koncertach, wyróżnienia dla Romana – knajpa prima sort po koncercie w towarzystwie Szymanowskiego, a przede wszystkim gadanie o sztuce. To, co niby mimochodem mówił o muzyce Karol Szymanowski, zamieniało się w słuchającym w obrazy. Taki niesłychany muzyczny Luwr! I to się skończyło. Tak niemożliwie niepoważnie w gruncie rzeczy. Karol kaszłał, od dwóch lat miał chroniczną chrypkę, mówił szeptem, już się do tego przywykło. Powinniśmy być dłużej z sobą razem. Choćby dla dobra muzyki każdego z nas. Kiedy się przenikają różnice stylistyczne przy jedności temperamentu i wyobraźni, może dojść do pełni. Do takiej

pełni już nie dojdzie. Muszę sam. Jeszcze nie wiem co. Ale zostało mi powiedziane. Zamysł utworu? Nie, to za mało. Gotowy utwór, rozumiesz, którego jeszcze nie ma. Dla niego, dla mnie, który bez niego zostałem sam jako kompozytor.

Roman zamieszkał w pensjonacie obok; albo był przy paniach, albo załatwiał sprawy zbyt dla nich obu bolesne.

Przedwczoraj, nie zdejmując futra, szczęśliwie zdjawszy cylinder, wszedł prosto do pokoju z trupem Karola przybyły z Morges Ignacy Jan Paderewski, człowiek, który pewnie mógłby żywemu dać więcej niż teraz ten przeraźliwie piękny bukiet złożony ze szkarłatnych goździków i białych róż.

To żyjącego Karola Szymanowskiego należało poddać gruntownemu leczeniu. Inna sprawa, że on sam nie szanował tego, co mu tam pozostało ze zdrowia. Palił, pił nie na umór, ale nieustannie popijał. Do końca damy dolewały mu do wody krople koniaku czy wina. Uwielbiany przez kobiety, które cenił, ale których bliskości nie potrzebował, kochany przez chłopców, których potrzebował na chwilę, był szokująco samotny. Teraz także w osobnym wagonie. Roman jechał w przedziale wagonu przyczepionego do tego z trumną, zdawał sobie sprawę, że metoda, którą przyjął, żeby pocieszać Stasię i Leonkę, te tak bliskie Karolowi osoby, składała się na coś w rodzaju spektaklu. Sam zeszytywniał w cierpieniu, robił, co było w jego mocy, żeby kobiety nie odczuły gry. Czy w swoim żalu potrzebowały w istocie jakiegokolwiek pocieszenia? Stacja Berlin – postój, na peronie tłumy ludzi oddających hołd szczątkom wielkiego zmarłego. Zespoły muzyczne, stowarzyszenia twórcze, przedstawiciele rządu... Następne postoje – Zbąszyń, potem Poznań. Czy jest Marcella?... Taki tłum, że nie rozpozna, czy zachodzą jakąś

mokrą mgłą. Coś się skrapla. Marcella i tak już teraz nazywa się Pruska i jest wreszcie żoną świetnie zarabiającego lekarza.

Przez trzy dni pociąg włókł się do Warszawy. Roman wspominał: funkcjonalistyczna sala w specyficznym reprezentacyjnym miejscu publicznym w Warszawie – w Instytucie Propagandy Sztuki. Przy ulicy Królewskiej. Na widowni – oprócz Karola Szymanowskiego, wytwornego – opoka IPS-u⁷, pełen żaru Karol Stryjeński, z grzywą gęstych włosów, opadających na oczy – kto by przypuszczał, że ten dziki lew salonowy, opiekun artystów, lokujący wycieńczonych w zakopiańskim schronisku, żeby mogli jeść, leczyć się i tworzyć, sam jest ciężko chory i czterdziestopięcioletni, za półtora miesiąca umrze. Koncert 8 listopada 1932 – tego się nie da zapomnieć: kompozycje młodych kompozytorów (kto miałby ich propagować, jak nie IPS?): Roman obok Mariana Neuteicha i Antoniego Szałowskiego. I – oczywiście – Roman przy fortepianie, obok Kranca, Niemczyka, profesora Lefeldta i z Warszawskim Kwartertem Skrzypcowym. Po koncercie Szymanowski podszedł do Karola Stryjeńskiego. – Ten Maciejewski – prawie krzyczał z głęboką radością – no, nie powiesz mi, kochany, że znów powstaje w sztuce polskiej coś o nieprzemijających wartościach!

– No – i Karol Szymanowski poczęstował Karola Stryjeńskiego płaskim papierosem z pozłaczanym munsztukiem, ze spojrzeniem, które

⁷ Karol Stryjeński (1887–1932), architekt, był współtwórcą, a wówczas – po zmarłym artyście drzeworytniku Władysławie Skoczylasie, a przed architektem Bohdanem Pniewskim – dyrektorem IPS-u (Instytutu Propagandy Sztuki). Był również autorem projektu architektonicznego gmachu IPS-u, z salą wystawową konkurencyjną dla „Zachęty” i z elitarną niebawem kawiarnią. Był mężem sławnej malarki Zofii Stryjeńskiej (rozwód 1927). Zmarł w Krakowie 21 grudnia 1932.

mówiło „tego już raczej nie pognieć” – to przecież tobie jeszcze raz udało się w porę wyciągnąć pomocną rękę i wydobyć te wartości na światło dzienne. Maciejewski – młody chłopak, wybitnie uzdolniony! Stasia będzie 12 listopada śpiewać jego urocze *Pieśni Bilitis*. W Towarzystwie Higienicznym.

– Gdzie?

– No, w tym gmachu, tam w Sali Chopina jest całkiem niezła akustyka. Czemu się dziwisz?

– Źle mi się kojarzy, rozumiesz, towarzystwo higieniczne.

– Ha-ha-ha! Ja także nieraz wolę bywać w towarzystwach mniej higienicznych, a nawet wręcz niehigienicznych!

– Śmiałbym się również, gdyby nie to, że wy będziecie w tym Towarzystwie Higienicznym, a ja w szpitalu.

– Znowu to samo?

– Tak, będą mi skrobać kość goleni. Wycinają, sekwestr po sekwestrze, każą się nie przeziębzać...

– A jak ty się masz nie przeziębzać w Zakopanem, gdzie ci jest najlepiej? Może byś tyle tam nie latał za dziewczuchami. Co?

– Latał!? To już przeszłość. Teraz za dziewczuchami kuśtykam. To jest dopiero śmieszne.

– Co?

– No my! Dwaj Karolowie kuśtykający.

– A, słuchaj – ożywił się Szymanowski – to jeszcze nic. – Kiedyś wstajemy od stolika u Karpia⁸ i – to dopiero musiał być widok dla po-

⁸ U Karpowicza, w słynnym lokalu gastronomicznym przy Krupówkach, miejscu spotkań bohemy; na ścianach „u Karpia” wisiały zjadliwe pastele wybitnego karykaturzysty Władysława Sichulskiego, przedstawiające wizerunki sławnych, ówczesnie żyjących, polskich artystów, pisarzy, muzyków, uczonych i polityków.

stronnego: ja utykam na prawą nogę, Michał Choromański – na lewą, a Marusia Kasprowiczowa utyka już nie wiem, na którą...

Stryjeński zaczerwienił się nagle. – A żebyś ty wiedział, co w niej siedzi!? Niby kulawa, na pewno z krzywą łopatką i z tą ręką, której kość jej skrobią chyba od dziecka, w tych tam Szwajcariach, tak jak mnie teraz nogę, ale wystarczy, że spojrzy – i ma cię!

– Mnie nie ma. Ona, jak tak patrzy, ma wielkie oczy. A strach ma też wielkie oczy. Ja się nie boję.

– A mnie zagarnęła. Wielka Wdowa. Żałuj, żeś już taki... Kiedyś, wiesz – kiedy tak z nią, już o poranku, ze słońcem zza zasłony, na jej skórze o niemożliwej do namalowania, ty nawet sobie nie wyobrażasz, jak pięknej karnacji, która przyciąga nieuchwytnym sygnałem ciepła i dobra – przestałem się dziwić, że Janek⁹ pisał najlepsze rzeczy, kiedy był z nią, kiedy ona była przy nim, rozpitym i chronicznie chorym. W takim stanie potrafił tak pisać. Bo przy niej.

– I ty tak przy niej, nad ranem, co? Nie poczułeś znużenia? Nie rozglądałeś się za kapeluszem, za butami, za laską? Uciec, choćby bez skarpet?

– Nie. To rzeczywiście dziwne. Nawet sobie myślałem, żeby tam z nią pozostać.

– A dajże spokój. Co byś tam robił z babą!

⁹ Jan Kasprowicz.

ROAD TO KAROL SZYMANOWSKI

The text forms a part of a recently published novel by Marek Sołtysik, *Roman Maciejewski. Dwa życia jednego artysty* (Roman Maciejewski. Two lives of one artist). The presented chapter *Droga do Karola Szymanowskiego* (Road to Karol Szymanowski) tells about the relationship between Szymanowski and Roman Maciejewski, a Polish composer, virtuoso pianist and the former's student, expelled from the Warsaw Academy of Music for his support for Szymanowski, the then rector of the Academy.

During his stay in Geneva at home of his would-be father-in-law, Ludwik Rajchman, Maciejewski, already an acclaimed musician, is informed about the approaching death of terminally ill Szymanowski and rushes to Lausanne to the latter's deathbed. His own health problems prevent him from arriving earlier than several hours after Szymanowski's demise. The untimely, although predictable, loss of a friend, mentor and source of inspiration evokes numerous recollections of the deceased, with whom Maciejewski has formed a strong artistic bond.